

Byli przyjaciółmi. Ona jednak nie mogła zrozumieć,
dlaczego on zawsze zapraszał inne dziewczyny zamiast niej.

CHŁOPAK, który mnie nie chciał

Carter #1

R.J. LEWIS



Tytuł oryginału

Carter

Copyright © 2015 by R.J. Lewis

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-165-8

R.J. LEWIS

**CHŁOPAK, KTÓRY
MNIE NIE CHCIAŁ**

CARTER #1

**TŁUMACZENIE
GRZEGORZ CIECIELĄG**

OŚWIĘCIM 2022

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kocham się w Carterze od dziesiątego roku życia. Od chwili, kiedy poganiany przez ojca wysiadł z samochodu i pomaszerował w stronę domku sąsiadującego z moim. Działo się to latem roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. Było okropnie gorąco, a kemping cuchnął stertami śmieci i dymem. Kiedy przykucnięta na ganku obserwowałam, jak wychodzi ze starej furgonetki, pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, był jego niepospolity wzrost.

Bardzo mi się to w nim spodobało.

I włosy. W odcieniu ciemnoblonde, a do tego solidnie potargane, wręcz proszące się o uczesanie. Próbował przygładzić je dłonią, kiedy, powłócząc nogami, maszerował w kierunku domku. Sprawiał wrażenie przybitego, jakby trafił tu wbrew swojej woli. Zbliżając się do ojca, zacisnął dłonie w pięści.

Kiedy zniknął w środku, jego tata podniósł wzrok i, ku mojemu zaskoczeniu, skierował spojrzenie w moją stronę. Włoski na karku stanęły mi dęba. Sprawiał groźne wrażenie; skojarzył mi się z wujkiem, kiedy był w złym nastroju. Najchętniej schowałamby się za drzwiami, ale wujaszek wygonił mnie na dwór. Za każdym razem, gdy zajmował się „interesami”, miałam kilkugodzinny zakaz wstępu do środka. W naszym domku pojawiali się wtedy nieznajomi o dziwnym, wyglądniętym spojrzeniu. Kiedy w końcu pozwalał mi wejść do środka, ciocia Cheryl leżała zwinięta

w kłębek pod kołdrą, a wujek Russell siedział w naszym niewielkim salonie z papierosem w ustach i liczył banknoty. Lubiłam te dni, ponieważ pozwalał mi wybrać, co zamówimy do jedzenia. Po sześciu dniach życia na makaronie z serem i zupkach błyskawicznych była to nie lada odmiana.

Dlatego gdy przerażający ojciec Cartera na mnie spojrzał, odwróciłam się do niego plecami, podciągnęłam nogi do klatki piersiowej i wbiłam wzrok w jakiś odległy punkt na kempingu. Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, a po kilku minutach w domku rozległy się krzyki. Nadstawiłam ucha, próbując podsłuchać, o co chodzi, ale nie mogłam rozróżnić słów.

Byłam wścibską dziewczynką, głównie przez brak przyjaciół. Na kempingu mieszkało wiele dzieci, jednak większość stanowili chłopcy, a wujek Russell nie chciał, żebym się z nimi bawiła. Z tego też powodu tylko przesiadywałam na ganku, przyglądając się ich zabawom. Zazwyczaj grali w nogę na prowizorycznym boisku między domkami a zapuszczonym parkiem, gdzie żaden rodzic nie puściłby swoich dzieci. Przekrój wiekowy był bardzo szeroki, a niektórzy obrzucali mnie wyzwiskami, których znaczenia jeszcze wtedy nie rozumiałam. Dopiero z wiekiem uświadomiłam sobie, co mówili.

Kiedy Carter w końcu wyszedł na dwór i zaczął poznać się z innymi chłopcami, cała zeszywniałam, a w klatce piersiowej i brzuchu poczułam mrowienie. Miał prawie dwanaście lat, blond włosy, był wysoki i piękny, ale zdawał się mnie w ogóle nie dostrzegać. Obserwowałam, jak bez większego wysiłku odnajduje się w lokalnych układach, jakby mimochodem awansując do roli jednego z liderów.

I nie, to nie aura zblazowania sprawiła, że pozostali mu się podporządkowali. On po prostu nie znał strachu. Nie bał się innych dzieciaków, nawet tych większych od siebie. W naszej nieciekawej okolicy, gdzie dorośli, zamiast świecić przykładem, siali postrach, było to nie do pomyślenia. Dzieciaki chciały mieć go po swojej stronie i wpatrywały się w Cartera, jakby pośród oceanu śmieci trafił im się złoty samorodek.

Wiem, że ja go dokładnie tak postrzegałam; emanował wewnętrznym blaskiem, czarował powierzchownością, ale skrywał twarde wnętrze. Nigdy nie widziałam piękniejszej istoty.

Zarówno on, jak i ja, większość czasu spędzaliśmy na dworze. Nawet jeśli z nieba lał się żar, żadnego z nas to nie zrażało. Żeby nie musieć wysłuchiwać kłótni Cheryl i Russella, opuszczałam swój posterunek na ganku i ukradkiem podążałam za Carterem. Wędrował ulicami z koszulką owiniętą wokół szyi, odbijając od nawierzchni piłkę do kosza. A dwadzieścia kroków za nim szłam ja, kryjąca się za drzewami i samochodami, ubrana w różową sukieneczkę na ramiączkach i starte sandały.

Wściekle kozłując tą piłką, przemierzał kemping, przecinał asfaltową drogę na jego obrzeżach i wchodził do rezerwatu przyrody. Za każdym razem podążałam za nim jak cień, od jednej kępy zarośli do kolejnej, dopóki nie zatrzymał się przy strumieniu. Wtedy zdejmował buty, przysiadł w cieniu i moczył stopy. Żałuję, że nie odważyłam się podejść, przysiąść obok i zanurzyć moje obolałe stópki w chłodnej wodzie. Zamiast tego walczyłam z komarami i nieustannie odgarniałam przetłuszczzone, nieumyte włosy z jednego ramienia na drugie.

Nie odrywałam od chłopaka wzroku, niecierpliwie wyczekując chwili, aż otworzy usta i zrobi to, co robił zawsze, kiedy wydawało mu się, że jest całkiem sam.

Zaśpiewa.

Cichym, głębokim głosem, płynącym z głębi serca; gdy zamknęło się oczy i uważnie wsłuchało, nie sposób było powstrzymać łez. Przeważnie śpiewał jeden i ten sam utwór; nurtowało mnie pytanie, czy z jakiegoś powodu jest dla niego ważny.

„Thank You” Led Zeppelin, które płynęło z jego ust, wykonaniem przebijało oryginał.

*If the sun refused to shine
I would still be loving you
Mountains crumble to the sea
There will still be you and me¹*

Warto było znosić wszelkie niewygody. Komary przysysające się do spalonej na buraka skóry to niewielka cena za możliwość obserwowania Cartera. Okropne owady żerowały na mnie, dopóki calutkiego ciała nie pokryły mi różowe swędzące krostki. Nie przejmowałam się tym; całą swoją uwagę skupiłam na Carterze. Może chodziło o sposób, w jaki chłonał otoczenie nieobecny wzrokiem. To spojrzenie sprawiało, że czułam ukłucie w sercu. A kiedy zaczynał śpiewać, jego głos rezonował skrywanymi emocjami. Udawał twardziela. Kogoś, kto potrafi o siebie zadbać – i po części była to prawda. Ale ja spędziłam całe lato

¹ Choćby zgasnąć miało Słońce,
moja miłość przetrwa.

Choćby morska toń skryła szczyty gór,
wciąż będziemy trwać (przyj. tłum).

wpatrzona w twarz tego nastolatka, wsłuchując się w jego smutny głos. I poznałam go lepiej niż inni.

Carter cierpiał. Był samotny i przybity. Stracił mamę, a ojciec go nie kochał; wolał zapijać smutki, a nocami znęcać się nad synem. Na dobrą sprawę ja i Carter byliśmy do siebie bardzo podobni. To sprawiało, że pragnęłam wyciągnąć ku niemu dłoń i zapewnić go, że nie jest sam. Że ja też wiem, jak to jest żyć bez mamy, w biedzie i nędzy, nie doświadczając choćby namiastki miłości. Kłaść się spać z pustym brzuchem, wyczerpana po ciężkim dniu, marząc o tym, żeby w nocy nie obudziło mnie ujadanie psów, wrzaski i płacz dzieci.

Ale nie powiedziałam mu tego. Dwa lata tylko przyglądałam się z dystansu, niewidzialna dla jego oczu. Aż nadszedł ten dzień, kiedy ni z tego, ni z owego wkroczył do mojego życia.

Konieczna była interwencja pewnego wrednego, pyskatego smarkacza, żeby Carter wreszcie mnie dostrzegł, a nasze ścieżki splotły się w jedną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiosna 2001 roku

12 lat

– Mama mówi, że twoja ciotka jest dziwką – powiedział Graeme, zatrzymawszy się przede mną z fioletowym lodem na patyku w dłoni.

No tak, kolejny dzień wysłuchiwania inwektyw.

Akurat siedziałam na parkowej ławeczce nieopodal boiska do baseballu, bezmyślnie pociągając paznokcie lakierem w kolorze różanej czerwieni i napawając się widokiem trzynastoletniego Cartera. W przydużym białym bezrękawniku podkreślającym jego opaleniznę prezentował się wyjątkowo korzystnie. Właśnie przyglądałam się, jak dzieli graczy na zespoły, kiedy zjawił się ten mały pętaś. W pierwszym odruchu zignorowałam go i wróciłam do malowania paznokci.

Graeme zawsze szukał guza. Miał trzynaście lat, ale czepiał się tylko młodszych i mniejszych od siebie. Mówiąc wprost, zachowywał się jak żalosny mięśniak tylko, kiedy wiedział, że ujdzie mu to na sucho. I niestety przeważnie uchodziło.

– Mówi, że ty też wyrośniesz na dziwkę – ciągnął. – Twój wujek tylko czeka, aż trochę podrośniesz. Zostaniesz dziwką jak twoja ciotka. Słyszysz, co do ciebie mówię, Leah? Będziesz dziwką.

– W porządku, Graeme – odpowiedziałam, puszczając jego słowa mimo uszu.

Nie był to pierwszy raz, kiedy spotkałam się z podobnymi komentarzami. Miałam dwanaście lat i rozumiałam, co od czasu do czasu dzieje się w naszym domku. Ten sadystyczny dupek nie musiał mnie uświadamiać.

– A, czyli ci to nie przeszkadza – odparł. – Mam w kieszeni trzy dolce. Dosiądziesz mnie jak twoja ciotka tamtych gości?

– Nie.

– Nie? Co, chcesz się potargować? Możemy zrobić zrzutkę z chłopakami.

– Nie – odpowiedziałam z roztargnieniem.

Nie musiałam na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że z gniewu zrobił się purpurowy. Liczył na emocjonalną reakcję, ale te sprawy już mi zobojętniały. Dorastałam wśród ludzi, którzy klną jak szewcy; przyzwyczaiłam się. Graeme był cieniasem niewartym mojej uwagi.

Usłyszałam, jak rusza w moim kierunku, ale zanim zdążyłam podnieść wzrok, wyrwał mi z dłoni lakier do paznokci i rzucił nim o ziemię. Buteleczka pacnęła głucho o miękką glebę; szkło nie pękło, jak tego chciał Graeme, ale i tak osiągnął swój cel. Obserwowałam, jak strużka lakieru miesza się z soczyście zieloną trawą. Trzy tygodnie temu dostałam go od ciotki Cheryl z okazji dwunastych urodzin. Byłam wniebowzięta. Dopiero dzisiaj rano zdecydowałam się go wykorzystać, a teraz buteleczka leżała do góry dnem, opróżniając się z lakieru, którym zamierzałam się upiększyć.

– Dziwki nie malują sobie paznokci! – wydarł się na mnie Graeme.

Poczułam, jak krew uderza mi do głowy. Moje serce zaczęło tłuc jak szalone, a skóra pokryła się potem.

– Dziwki nie mają prawa ładnie wyglądać!
Palce chwycił skurcz i wbiłam wzrok w czerwień.
Wypełniła mi całe pole widzenia. Różana czerwień.
Którą powinnam mieć *na sobie*.

– Takie dziwki jak ty nie zasługują na preze...

Ostatnie słowo przeszło w pisk, kiedy powaliłam go na ziemię. Ogarnięta furia, zwinęłam palce w pięści i zaczęłam okładać Graema.

Mały potwór liczył, że mnie sprowokuje?

Ten wybuch zapamięta do końca życia!

Niemal natychmiast przeszedł do kontrataku. Zrzucił mnie, przyszpilił do ziemi i zaczął policzkować oraz ciągnąć za włosy. Miotalam się jak oszalała, jedną ręką osłaniając twarz, a drugą przejeżdżając mu po gardle. Nie obchodziło mnie, jak bardzo oberwę, bo sił dodawała mi świadomość, że odpłacam mu pięknym za nadobne.

Tłukliśmy się bez ładu i składu. Graeme był chuchrowatym gnojkiem i wreszcie trafiła kosa na kamień. Żadne z nas nie miało przewagi, a do tego straciłam kontakt z rzeczywistością. Nie wiedziałam, jak długo się bijemy – kilka minut, czy może dopiero parę sekund. Mózg mi się wyłączył, a ciało przeszło w tryb automatyczny, odruchowo zadając ciosy i wkładając w nie resztki siły, jaka we mnie pozostała. Wszystko to w niemal absolutnej ciszy, pomijając może kilka sapnięć. Napędzały mnie adrenalina i determinacja. Kto by pomyślał, że taka mizerota postawi się Graemowi? Ja na pewno nie. Czekałam, aż tchórzliwa cząstka mojej osobowości zacznie go błagać o litość, ale mózg zafiksował się na utracie lakieru i powrocie do życia z oblesnymi paznokciami.

Nie tak miało być. Zaznałam w życiu zbyt wielu krzywd, żeby przejść do porządku dziennego nad utratą mojego

pierwszego kosmetyku. Obrażliwe komentarze bym zniosła – do licha, gdyby skończyło się na wyzywaniu mnie od „dziwek”, przymknęłabym oko na ekscesy Graema i pozwoliła mu nacieszyć się tym zwycięstwem.

Ale przekroczył granicę.

Znienacka wokół rozległy się krzyki; Graeme przestał przygniatać mnie do ziemi, a ja zorientowałam się, że boksuje powietrze. Kiedy odsunęłam przedramię znad twarzy, dostrzegłam, jak ktoś pochyla się nad nim, chwytą go i odrzuca na bok. A tym kimś okazał się wysoki, opalony blondyn w białym bezrękawniku, z burzą blond włosów na głowie. Ten sam, w którego wgapiałam się jeszcze chwilę temu. Aż zaczęłam się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie snię. Carter naprawdę rzucił mi się na ratunek? Czy raczej do tego stopnia zafiksowałam się na jego punkcie, że widzę go w roli swojego wybawcy?

– Bijesz dziewczynę? – rzucił wściekłym tonem.

Czyli nie miałam zwidów.

To Carter.

Jak zahipnotyzowana przyglądałam się, jak wymierza Graemowi kopniaka w brzuch, po którym ten z przeciągłym jękiem upada na ziemię.

– To ona zaczęła!

– Co jej zrobiłeś, ty fiucie?

Graeme nie odpowiedział. Odwrócił wzrok i spiorunował mnie wzrokiem. Ewidentnie uważał mnie za jedyną winowajczynię tej sytuacji. Odwzajemniłam jego spojrzenie i posłałam mu subtelny uśmiezek oraz nieme wyzwanie. Czułam się nietykalna, kiedy Carter stał między nami, chroniąc mnie niczym damę w opałach.

Nawet wtedy, gdy Carter wymierzył mu kolejny cios, Graeme nie odezwał się słowem. Kiedy zebrana wokół

dzieciarnia zaczęła z niego szydzić, poderwał się i próbował wziąć nogi za pas, ale zanim zdążył uciec, Carter posłał mu kopa na rozbieg. Graeme zarył twarzą w ziemię, podniósł się, otarł krew z rozbitego nosa i pognął w kierunku kempingu. Jak go znam, na kilka dni zniknie wszystkim z oczu, żeby wylizać rany.

– Otóż to, spierdalaj, szcurze jeden! – wydarł się za nim Carter, a jego zebrani wokół kumple odprowadzili Graema głośnym śmiechem i piskami.

Następnie, z lekkim uśmieszkiem na ustach, Carter odwrócił się w moim kierunku. Wpatrywałam się w niego jak sparaliżowana. Serce niemal rozerwało mi klatkę piersiową, ale bynajmniej nie z powodu niedawnej bójki. Carter Matheson w końcu mnie zauważył. Patrzył prosto na mnie; przez krótką chwilę wpatrywał się w moją twarz, po czym jego wzrok ześlizgnął się niżej. Ledwo udało mu się ukryć zdziwienie, w momencie gdy zorientował się, że mam na sobie króciuteńkie szorty i sięgający pępka top na ramiączkach. Nie poczuwam się do odpowiedzialności za dobór tak nieskromnej kreacji; brak komentarza ze strony wujka Russella potraktowałam jako milczące przyzwolenie. Zresztą wszystkie miejscowe dziewczyny ubierają się równie wyzywająco. Wtedy jeszcze nie zastanawiałam się nad implikacjami tego faktu.

Z zapartym tchem obserwowałam, jak rusza w moją stronę. Staął nade mną, przesłaniając swoją sylwetką słońce, i przez chwilę tylko mi się przyglądał. Kiedy wyciągnął ku mnie rękę, na kilka sekund stał się całym moim światem. Mój wzrok przeskoczył na jego rozwartą dłoń i nawet bym ją chwyciła, ale byłam w takim szoku, że chyba zapuściłam korzenie.

– No dalej, Leah, pomogę ci wstać – powiedział ledwo słyszalnym szeptem.

Leah.

Znał moje imię. Nie sposób opisać, ile to dla mnie znaczyło. Dotychczas sądziłam, że jestem tylko bezimiennym obiektem na obrzeżach jego życia. Jednak nie.

Znał moje imię...

Przełknęłam ślinę i chwyciłam jego dłoń, w pełni spodziewając się, że kiedy nasze palce się zetkną, ciało przeżyje mi prąd, jak to zwykle bywa, gdy poznamy osobę obdarzoną wyjątkową urodą. Ja nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam, ale niczego nie pragnęłam w życiu bardziej. Tymczasem poczułam ciepło i Carter dźwignął mnie na nogi. Miał szorstką skórę; przytrzymałam się go nieco dłużej, niż musiałam, a zanim puściłam, zdążyła się przeze mnie przetoczyć fala przyjemności.

Do dzisiaj pamiętam najdrobniejsze szczegóły tamtej sytuacji. Spędziłam wiele wieczorów, odtwarzając ją sobie w głowie. Bez reszty utonąłam w jego błękitnych oczach. Podczas taksowania mnie uważnym spojrzeniem, z jego twarzy stopniowo znikał uśmiech. Pierś przestała mu się unosić, jakby jemu również zabrakło tchu. I choć nasz pierwszy kontakt fizyczny był całkiem zwyczajny, *coś* jednak między nami zaiskrzyło. Może to wina nadpobudliwej wyobraźni, ale nie sądzę. A przynajmniej bardzo bym chciała, żeby on też to poczuł.

Na pewno tak było.

– Powiesz mi, o co poszło? – zapytał ni z tego, ni z owego.

– Graeme to bandzior – odpowiedziałam drżącym głosem.

Zmarszczył brwi i wbił wzrok w ziemię. Podążyłam za jego spojrzeniem. Cofnął nogę, spojrzał na podeszwę i przeklął, kiedy dostrzegł na niej czerwone smugi. Dopiero

wtedy zauważyłam lakier do paznokci i od razu wpadłam w panikę, że zniszczy mu buty. Jednocześnie sięgnęliśmy po buteleczkę i zderzyliśmy się głowami. Siła uderzenia odrzuciła mnie do tyłu, ale Carter chwycił moje ramię, pomagając mi odzyskać równowagę.

– Sorka, mała. Daj, ja podniosę – wymamrotał z rozbrajającym uśmiechem.

Mała.

Sorka, mała.

O mój Boże. Nie mam nic przeciwko, żebyśmy stukali się głowami cały dzień, byle się tak do mnie zwracał.

Przykucnął, żeby podnieść z ziemi buteleczkę po lakierze i znowu się wyprostował. Większość naszej widowni zdążyła się rozejść, włączając w to jego kumpli, którzy wrócili na boisko. Przyglądałam się, jak studiuje buteleczkę, po czym przenosi spojrzenie na moje nagie stopy. Nagle uświadomiłam sobie, jak muszą wyglądać po bójce z Graemem.

Ale najgorsze było to, że nie miałam zmywacza do paznokci.

– Rzucił ją na ziemię – wymamrotałam, czując lekkie zakłopotanie.

– To dlatego się na niego rzuciłaś? – zapytał.

Na twarz wstąpił mi rumieniec wstydu. Czyli widział. Tak strasznie się wściekłam, że nie zwróciłam uwagi, czy ktoś na nas patrzy. Ale mogłabym przysiąc, że był zajęty grą.

– No – odparłam szeptem.

– Nieźle. Większość dziewczyn nie lubi brudzić sobie rąk – skomentował, szczerząc się do mnie.

Odwzajemniłam jego uśmiech. Fakt, nie mam problemu z tym, aby trochę się ubabrać. Cholera, dla niego mogłabym się tak tarzać cały dzień.

– A zdradzisz, co ci powiedział? Może poszukam tego fiuta i sprzedam mu jeszcze kilka ciosów.

– Wolałabym nie. To ciebie nie dotyczy. I tak już dostał za swoje – odpowiedziałam ze wzruszeniem ramion.

Nie chciałam mówić, jakimi słowami Graeme zwyzywał moją ciocię i mnie. Nie potrzebowałam litości. A tym bardziej nie miałam zamiaru wywlekać brudów mojej rodziny. Mógłby odwrócić się na pięcie i dać nogę albo gorzej – powiedzieć, że ja też jestem dziwką. Z perspektywy czasu rozumiem, że zachowałam się niemądrze, bo wszyscy i tak wiedzieli, co się wyprawia w moim domku. Ale miałam dwanaście lat. Wielu spraw nie rozumiałam. I wcale nie byłam jakoś szczególnie łebska. Ot, zadurzyłam się w chłopcu, dzięki któremu samotne dorastanie stało się troszkę bardziej znośne.

Przez chwilę Carter przyglądał mi się bez słowa. Było jasne, że chce coś powiedzieć, ale tego nie zrobi. Tylko po kiwał głową.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponował.

– A mecz? – zapytałam.

Spojrzał za mnie, na boisko. Przez kilka sekund analizował sytuację.

– Świetnie sobie radzą beze mnie.

Upuścił buteleczkę na ziemię i gestem dał znać, że możemy iść. Ruszyłam za nim – czy miałam inne wyjście? Marzyłam, żeby spędzić z nim choćby chwilę sam na sam. Nie zamierzałam zmarnować takiej okazji, kiedy wreszcie mnie dostrzegł.

Błagam cię, Leah, nie zawal tego!

Przez całą drogę żadne z nas nie odezwało się słowem, ale z każdym krokiem motyle trzepocące mi w brzuchu coraz mocniej dawały o sobie znać. Szedł tuż obok mnie, bliżej, niż towarzyszący ci przyjaciel. Kilka razy nawet otworzyłam usta, planując zainicjować rozmowę, ale nie zdołałam wydusić z siebie słowa.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, przed moim domkiem stał jakiś samochód, co oznaczało, że będę musiała – Bóg jeden wie jak długo – czekać, zanim wpuszczą mnie do środka. Ale w sumie nawet mi to nie przeszkadzało. Zdążyłam się przyzwyczaić i nie miałam świadomości, że nie tak to powinno wyglądać.

– Dzięki, że mnie odprowadziłeś – powiedziałam nieśmiało.

Nie mogłam utrzymać z nim kontaktu wzrokowego dłużej niż kilka sekund; od razu zaczynało mi się kręcić w głowie, a kiedy czułam na sobie jego spojrzenie, miałam wrażenie, że nic innego się dla niego nie liczy. Rumieniec nie schodził mi z policzków, a serce biło jak szalone.

– Nie ma sprawy – odparł ze smutnym uśmiechem, omiatając wzrokiem moją twarz.

Trudno sobie wyobrazić bardziej niezręczną sytuację. Pomacha mi na odchodne w stylu „do następnego, ale nie rób sobie nadziei”? A może powinnam kuć żelazo, póki gorące i go zagadać? Już sama nie wiedziałam, co zrobić. Jezus Maria, ależ byłam wtedy amatorką. Trzymałam się na uboczu i nie miałam pojęcia, jak zachować się w czyimś towarzystwie. Ze szkoły niczego nie wyniosłam, bo wszyscy wiedzieli, jak wygląda sytuacja z moją cicią. Płotki rozchodzą się lotem błyskawicy, więc na przerwach byłam traktowana jak wyrzutek. Przez większość czasu skupia-

łam się na ignorowaniu złośliwości, starając się zachować kamienny wyraz twarzy. To dlatego rzuciłam się na Graema. W sytuacjach podbramkowych mogłam liczyć wyłącznie na siebie.

Moim jedynym przyjacielem był Rome, introwertyk, któremu z wiekiem się odmieni. Równie wycofany jak ja, a do tego nie dość lubiany, żeby załapał się do trzódki Cartera. Odkryliśmy siebie nawzajem na plastyce, i to tylko dlatego, że żadne z nas nie mogło znaleźć partnera do klasowego projektu.

Największym atutem Rome'a były jego dłonie. Miał smykałkę do instrumentów muzycznych – w podstawówce grał na perkusji – i nie było rzeczy ani osoby, której nie zdołałby narysować. Wystarczyło dać mu do dłoni ołówki – i to byle jaki – żeby świat oniemiał z zachwytu.

W trakcie przerw i lunchu trzymaliśmy się razem. W naturalny sposób do siebie pasowaliśmy: dwie niechciane duszyczki w morzu krytycznych dupków. Nie przejmowałam się tym. Tak nawiasem mówiąc, to Rome, brunet o zielonych oczach, był całkiem niezłym ciachem. Kiedy dorośnie, stanie się obiektem westchnień wielu kobiet. A tymczasem... byliśmy parą samotników.

I tak to właśnie wyglądało. Cały zasób moich doświadczeń w kilku zdaniach. Zgrywałam zamkniętą w sobie ofertę, żeby uwolnić się od dręczycieli, a większość czasu spędzałam w towarzystwie podobnego sobie wyrzutka.

Nic dziwnego, że ciągnęło mnie do tego łobuziaka. Carter nie zwracał sobie mną głowy, dopóki nie zobaczył, jak rzucam się z pazurami na swojego oprawcę. Mógłby mieć każdą. Do licha, sama mogę o tym zaświadczyć. Wieczorami często wychodził i nierzadko zdarzało się, że przed domkiem czekała na niego taka czy inna dziewczyna. Nie

zawsze, ale najczęściej, wracał dopiero po północy. Kryjąc się za zasłonką, która nie zasługiwała na tak szacowne miano, obserwowałam, jak wślizguje się przez okno do swojego pokoju.

Żył pełnią życia, a ja tkwiłam w osobistym więzieniu, zamknięta we własnym pokoju, zachowując się jak prześladowczyni z *Fatalnego zauroczenia*.

– No to... – zagałam i odchrząknęłam, rozglądając się wokół w poszukiwaniu jakiegoś tematu do rozmowy. Nie chciałam się już żegnać.

Boże drogi, błagam, niech zostanie ze mną na zawsze.

– Będę przy strumieniu – rzucił ni z tego, ni z owego, a na jego twarzy wykwitł bezczelny uśmiešek. – A że wszędzie za mną łazisz jak jakaś wariatka, pewnie się tam spotkamy.

Zamarłam, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Co...

Czyżby...

O nie.

Jasny gwint.

Czyli wiedział, że go podglądałam? Ale kiedy się zorientował?

Jezus Maria, Leah. Żaden z ciebie ninja – upomniał mnie mój mózg.

– Nie ma się czego wstydzic – dodał mimochodem. – Od razu cię zauważyłem. Po prostu nie zareagowałem. Nie chciałem, żebyś poczuła się niezręcznie.

– Za późno – wyszeptalam, nerwowo składając dłonie.

Zaśmiał się i posłał mi to swoje hipnotyzujące spojrzenie.

– Ale byłoby jeszcze dziwniej, gdybym przyłapał cię na gorącym uczynku, prawda? Wolałem oszczędzić ci szoku. W końcu jestem gotów na spotkanie twarzą w twarz ze swoją jedyną słuchaczką – odpowiedział.

Po kręgosłupie przebiegł mi przyjemny dreszcz. Całkowicie mnie rozbroił. Pragnęłam go, nie mając pojęcia, co to w ogóle znaczy, ani skąd wzięła się ta potrzeba.

Podszedł krok bliżej i pochylił się nade mną.

– Do zobaczenia za dziesięć minut, Leah – wyszeptał.

– Jasne – wymamrotałam półgłosem, odprowadzając go wzrokiem do jego domku.

Nie marnowałam czasu. Pobiegłam nad strumień, nadal dręczona upokorzeniem wynikającym z faktu, że dałam się przyłapać na podglądaniu, ale też dziękując temu konkretnemu bogu, w którego akurat wierzyłam, że Carter nie zrobił z tego afery.

Może był równie stuknięty, co ja.

Może też za kimś łąził.

Ale prawda okazała się smutniejsza i trudniejsza do przełknięcia od moich domysłów.